

## Janusz Ramotowski

## część IX z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **02.11.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min, część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Janusz Ramotowski:** To wszystko upadło, natomiast ja z człowieka, który tak blisko biegał księdza i był taki dobry, nagle stałem się wrogiem nr 1. Gorszego wroga nie ma. No i zacząłem być wyklinany z ołtarzy, zresztą zawsze się powód znajdzie. Na przykład na okrągłą rocznicę, już nie wiem którą trzeba było liczyć, Powstania w getcie warszawskim, zrobiłem wystawę w Domu Polskim o Powstaniu w getcie warszawskim. No i to już przelało szalę goryczy moich kapłanów. I usłyszałem spod ołtarza w czasie Wielkanocy i krzyknęli: „Krew jego na nas i na dzieci nasze”, a niektórzy, zaczął się rozglądać, później oczy wlepił we mnie, uważają nas za antysemitów. Krótko mówiąc, kościół powoli zaczął się zamieniać w klub dyskusyjny. Ludzie w momencie, kiedy on wyjeżdżał z następnym tematem, zaczęli wychodzić z kościoła. Ja doszedłem do wniosku, że dyskusja w czasie mszy to jednak trochę nie wypada, no to zrobiłem to, co zrobił Marcin Luter. Z tym, że możliwości techniczne były lepsze, więc nie musiałem przybijać gwoździem na drzwiach kościoła, tylko po mszy rozdałem po prostu jakiś tam tekścik z wyjaśnieniem tego, co się dzieje. Dostał również mój przeciwnik. I było jakieś takie, znaczy co roku jest takie wydarzenie pt. pielgrzymka, jest taki kościół [niezrozumiałe] i tam co roku jest również pielgrzymka polska. Jest to taki kościół pielgrzymkowy. Uroczyste nabożeństwa tam, jeśli chodzi o Polskę pielgrzymkę zawsze przyjeżdża jakiś dostojnik z Polski, no i zawsze przyjeżdża ten przedstawiciel kościoła polskiego we Francji, wtedy to był ksiądz Jeż, niejaki. No i przyjechał ten Jeż, zostałem wezwany na dywanik, on wyciągnął ten mój tekst. Mówi: „ta ulotka pana dyskwalifikuje”. Ja mówię: „my mecz gramy, coś takiego? Żeby taka dyskwalifikacja, to jak w zawodach sportowych to się odbywa, jeśli się nie mylę”. „Pan już nie jest prezesem Polskiego Związku Katolickiego”. „Jestem, jestem. A jeżeli ksiądz chce mnie usunąć, to zwracam uwagę, że jestem prezesem francuskiej organizacji, zarejestrowanej w sądzie w Thann Radziłbym się udać do Thann wyciągnąć statut organizacji i zobaczyć, w jaki sposób statutowo można mnie usunąć. Czy coś jeszcze?”. No i się

rozstaliśmy, nic więcej nie było. W czas jakiś później zabrał... On zabrał ich obydwu, zostali wysłani do Szwajcarii. I wtedy ja zrezygnowałem też z tej szczytnej funkcji prezesa Polskiego Związku Katolickiego. Powiedziałem, że był okres wojen, że ma się zakończyć raz na zawsze i do końca. To mnie też już nie ma w tym wszystkim. Tak się stało i jest święty spokój. W każdym razie moja miłość i przywiązanie jakoś trochę przeszło i minęło, ale to tak na marginesie. Przyjeżdżał Jan Paweł II do Miluzy. Jak Pan wspomina pielgrzymkę papieża? To był, 88 rok. Chyba, ja nie pamiętam, który to był rok. Znaczący no, dla Polonii, dla wszystkich to było jakieś wydarzenie, było to jakieś wielkie święto, ale... No a my no co, po staremu wymyśliłem, bo nie można było wносить transparentów, flag, takich rzeczy. No więc jakoś po staremu wymyśliłem, jak to wnieść jednak na te trybuny, taki wielki biało-czerwony sztandar, od góry do dołu. Jakoś żeśmy to wtachali, to się składało z paru kawałków, ale każdy dostał swój kawałek, owinął się nim. No i napis „Solidarność”. No było nas widać, prawda było nas widać. Prasa opisywała, DST odnotowało, jak myślę, no i na tym się skończyło. Był konsulat, prawda. Konsulat miał tam jakieś chęci na jakieś tam rozmowy ze mną. Konsul to w sposób oficjalny i normalny, prawda. Natomiast wicekonsulowie to byli funkcjonariusze, to byli ubeki. Tak się robi zawsze. Wszędzie wicekonsulowie to są funkcjonariusze służb. I tam też było takich dwóch. Tylko drugiego zapomniałem, ale tego pierwszego pamiętam. Karol Bielecki się nazywał. Karol Bielecki podrzucił mi książkę do przeczytania. „Ach, panie Januszu, mam książkę. Chciałbym, żeby pan przeczytał, to jest dobra książka”. Jak jest dobra i chce, żebym przeczytał, to przeczytałem. I to była książka generała Pożogi o transportach, przerzucie sprzętu do Polski. Z tym, że on opisywał przerzuty sprzętu do Gdańska. Wtedy była nasza nitka. No i opisał, co miał tam do opisanego. Przeczytałem tę książkę, oddaję panu Bieleckiemu książkę. „No i jak, jak panie Januszu, jak?”. „No dobra książka, fajnie się czyta”. „Jak pan myśli, ten Pożoga to prawdę pisze?”. „Nie wiem, wie pan. Ja chyba nigdy w życiu w Gdańsku nie byłem, a skąd ja mam wiedzieć, jak się odbywały jakieś przerzuty sprzętu do Gdańska. Nie mam pojęcia”. „A no tak, no tak, no bo pan z Warszawy, ale w Warszawie też żeście to robili?”. Pyta się mnie pan Bielecki, więc odpowiedziałem mu ze spokojem, że: „cóż ja będę panu opowiadał, ja opowiem, a Pożoga drugi tom napisze”. Ale nie było między nami tam jakichś takich nigdy ściąg, No zresztą jak się ścinać, to terytorium jest obce i zasady grzeczności obowiązują. On powiedział, że na przykład kierowca, sam powiedział, że on jest sierżantem w Departamencie I. Nawet utrzymywał ze mną takie miłe kontakty. No i tak było do przewrotu, prawda, do zmiany władzy. Po zmianie władzy skończył się konsul Janas, a konsulem został Piotr Chruszczyński, dawny kierownik Biura paryskiego „Solidarności”. No i nasz koleżka serdeczny, prawda. Więc Piotr się znał w Strasburgu, Bielecki i ten drugi jeszcze w dalszym ciągu byli wicekonsulami, pan Tadeusz w dalszym ciągu był kierowcą, no i tam Piotrowi ten konsulat rozbudowano, Piotr tam dostał apartament jako ten konsul, No i jak tam się wprowadził, no to pojechałem tam kiedyś do niego. Kurczę, tak się rozglądam po tych pomieszczeniach, się patrzę. I nie pasowało mi. W którymś momencie kawałek tego sufitu mi nie pasował. O czymś rozmawiamy i w końcu mówię: „wiesz Piotrze, robisz tak mocną kawę, że się nie da pić. Chodź, pójdziemy na kawę do kawiarni. Ja się chcę kawy napić”. Powiedziałem, masz posłuch tu, w tym swoim apartamencie i dlatego ciężko gadać. „Co ty opowiadasz?”. Pokazałem mu później gdzie. No i jak Piotr skończył pracę, bo on sam zrezygnował, jak w Polsce była zmiana władzy, jak SLD doszło do władzy, wtedy Piotr zrezygnował z bycia konsulem, to pan Tadeusz przyszedł do Piotra, mówi: „panie konsulu, a czy pan wie, że był pan podsłuchiwany?”. Piotr się zdziwił. A to ja panu pokażę, gdzie ten podsłuch. No i rzeczywiście było to miejsce, które ja mu wskazałem. A teraz chodźmy na dół do mnie, mówi pan Tadeusz, zaprowadził go do swojego tam powiedzmy mieszkanka, gdzie mieszkał. Mówi on wciągnął szufladę, mówi widzi pan, a tutaj pana nagrywałem. Taka moja robota. Taka tam przygoda z tym konsulem. Ten konsulat gdzie się mieścił? Ojej, już zapomniałem. Teraz tam jest am-

basada przy Unii Europejskiej w Strasburgu. No więc przyszedł rok ,89, było po Okrągłym Stole. Dzwoni Mirek Chojecki, mówi: „jadę do Polski”. „Jak jedziesz do Polski? Na czym jedziesz do Polski?”. A na tym titre de voyage, ponieważ my mieliśmy coś w rodzaju paszportu, na którym było napisane wszystkie kraje świata oprócz Polski. „No wiesz, oszalałeś, no ale co ci powiem. Dobry kolega byłeś, zresztą jeszcze będziesz. Cię wypuszczą, nie wiem ile dostaniesz, ale Cię wypuszczą”. No i Mirek przyleciał na tym titre de voyage do Polski. Mówi, że chyba ze 4 godziny go tam na tej granicy na lotnisku trzymali. W końcu powiedzieli, a nie wiadomo co to z wami robić i puścili. Więc ja natychmiast, jak Mirek wrócił i mi opowiedział to wszystko, natychmiast wsiadłem w samochód i pojechałem do Polski na titre de voyage. Już jakoś łatwiej było, w międzyczasie widocznie już tych chętnych tam się zjawiało, że się przyzwyczaili. Po 4 czerwca ,89? Tak, tak. Ja jechałem, to był już, to był listopad. Listopad, bo kosztowało mnie to samochód, się rozbiłem na Moście Łazienkowskim. W każdym bądź razie, ja już siedziałem na tej granicy z 15 minut, Na kołach, byłem samochodem. Jechałem w Świecku. No i w końcu też mówi: „a ja wiem co z tym robić? A jedź pan”. No a później to już powiedzmy paszport konsularny, już regularne papiery żeśmy mieli. No i taka to Francja, no. A niech Pan jeszcze powie kontakty z Barbarą Labudą, jakieś tam ośrodki? Ojej. Znaczący ja kiedyś skontaktowałem się z FDT w Miluzie. Z zapytaniem, czy oni współpracowali z Wrocławiem. Dolnośląską Solidarnością. No. I zapytałem się, czy nie przeczuciliby jakichś pieniędzy. Przeczuciliby. I dali mi na próbę 10 tysięcy franków francuskich. Ja to puściłem przez Biuro paryskie „Solidarności”. Te pieniądze nigdy nie zostały potwierdzone przez gazetkę Dolnego Śląska, A Labuda powiedziała do kogoś: „ma za swoje, powinien wiedzieć jak się przesyła. Ja mam przedstawiciela w Amsterdamie”. Skąd ja miałem wiedzieć, że Barbara Labuda ma przedstawiciela w Amsterdamie? Tak że się już później do tych pieniędzy nie angażowałem specjalnie chętnie. Jeden jedyny przerzut jaki zrobiłem pieniędzy to od Mirka dla NOW-ej. Ale to była moja teściowa, no i moja teściowa wzięła te pieniądze, dostała adres w Polsce, odzew, hasło oczywiście, wszystko jak się należy. No i przewiozła te pieniądze bez żadnych kłopotów, no bo ktoś akurat ją miałby czepiać i o co. Poszła pod ten adres, no i znowu zamiast hasła i odzewu usłyszała od człowieka, który otworzył drzwi. „A, pani Janeczko, widzę, że temu samemu Bogu służymy”. Okazało się, że moja teściowa pracowała jako kucharka gdzieś tam w centrum Warszawy, nie wiem, jak się ta firma nazywała. No on był klientem tejże stołówki przez lata całe, no ale on był tylko pośrednikiem, no a pieniądze to odebrał Boguta. Tyle tych pieniędzy naprzeczuciałem, ale to nie była moja... Zresztą przy pieniądzach zawsze jest to samo, prawda? Albo się ma pewność, a jak się nie ma pewności, a nie dochodzą, to później nie ma się pewności, czy ktoś ukradł, czy one zginęły. Zawsze tak było i tak będzie. I w związku z tym, jak się nie ma swojego kanału zorganizowanej linii i potrzeby, to nie ma sensu, żeby się w to bawić w takie tam pieniążkowanie. A jak Pan był we Francji, to jakiś kontakt był z Teosiem? Tutaj jakieś informacje czy prośby? To nie Teoś nawet, ale jego brat, Waldek, Walerian, przestał mi namiary na Jacka Sygnarskiego w Szwajcarii, który był rzekomo... znaczy, no rzekomo, no był reprezentantem Grup Oporu Zagranica. Znowu, znaczy Jacka w ogóle nie widziałem, żeśmy się kontaktowali telefonicznie, nie wiedziałem, na czym polega ta jego reprezentacja. Ja wiem, że dostawał „Tygodnik Mazowsze” od Teosia i kopię tego tygodnika przysyłał mnie, a mnie się wydawało, że ja go powiele w jakichś ilościach egzemplarzy. I na pewno nasi rodacy spragnieni wiadomości z kraju przecież jednak z wielką chęcią, żeby powalczyć, każdy chętnie kupi go tam za jakieś nieduże pieniądze, ale kupi tak, żeby opłacało się to wysłać z powrotem Jackowi. No i niech by doszło do tej grupy, niech by doszło do tej Polski. Brać to brali. Na początku nawet bardzo licznie. Płacić jakoś mniej licznie i mniej chętnie. A później to już brać nie chcieli. I został mi jeden tylko klient, który brał, płacił i chciał jeszcze. I kiedyś się zapytał: a skąd ty ten tygodnik masz? Być za dobrym to też jest być niedobrze. No bo pomyślałem sobie, że jeżeli ktoś mnie tu kapuje, to na pewno

on. Więc upiłem mojego przyjaciela u niego w domu. Upiłem go dokładnie i jak widziałem, że przychodzą jego ostatnie momenty, to się go zapytałem, dlaczego mnie, Zbyszku, dlaczego kapujesz na mnie. On zaczął płakać, powiedział, że to nie on, to jego żona, bo ona inaczej by nie dostała paszportu i tak dalej, i tak dalej. I po tym, jak mi to wszystko wytłumaczył, znurkował pod stołem. Takie jeszcze były czasy, że ja w tym stanie upojenia mogłem samochodem wrócić do domu. To jeszcze było tolerowane, może stan, w jakim ja byłem pewnie już by nie był tolerowany, ale generalnie po pijaku można było jednak jechać i jak się gliniarzom powiedziało, że się jest nawalonym, to po prostu raczej pilnowali, żeby człowiek bezpiecznie dojechał, niż żeby go tam od razu zatrzymywać, prawo jazdy zabierać, czy nie wiem co, wróciłem do domu. No i tyle, no i nabrałem przekonania, że Zbyszek Walczak jednak na mnie donosił. Nie znam, próbowałem znaleźć jakieś ślady w IPN-ie, ale nie udało mi się. W tej chwili wiem zresztą, że ta współpraca, czy kontakt z Tajnym Współpracownikiem za granicą, powiedzmy we Francji, nie przebiegał tak prosto, jak mi się wydawało, bo mi się wydawało, że tu mamy Tajnego Współpracownika, tu mamy wicekonsula, który jest ubekiem, a tu wicekonsul ma swoją siatkę Tajnych Współpracowników, no i tak sobie robią. Nic bardziej mylnego. Tajny Współpracownik nie miał prawa wiedzieć, kto jest rezydentem MSW tutaj, w miejscu, w którym on mieszka, a konsul nie miał bezpośredniego kontaktu z Tajnymi Współpracownikami. Konsul takie potrzeby wysyłał do kraju, mówiąc, że ewentualnie z tego terenu kogo by się dało znaleźć. I te jednostki macierzyste tych ludzi dostawały informacje od tego Tajnego Współpracownika, żeby ją później przesłać tam, gdzie trzeba. To było bardziej skomplikowane. Wiem to już na pewno, bo to sobie obejrzałem właśnie w IPN-ie, oglądając tam losy paru takich tam spraw i akcji. W każdym razie mnie się rozpoznać, no w końcu znaleźć po prostu. Było mi łatwo stosunkowo, no bo miałem ten IPN, prawda? Więc w dwóch przypadkach sobie zrobiłem listę nazwisk, stukam, stukam, on wyskoczył, no i już go mam, prawda. Więc to nie było trudne. W każdym razie przynajmniej cztery osoby współpracowały z Polską. Współpracowały w różny sposób. Był taki, który zaczął współpracować, żeby wyjechać, no jak wyjechał, to się odwrócił do nich tyłem i już nie współpracował. Byli tacy, co współpracowali. Na mnie, oprócz tego, że Zbyszka, chyba nikt więcej. Natomiast byli tu inni ludzie jeszcze też, z przeszłością solidarnościową, No i tam spływały na nich te meldunki. Spływały nawet jeżeli do dnia dzisiejszego nie mamy potwierdzenia w postaci teczek osobowej, no to pewności są wystarczające powiedzmy po treści meldunków. [głos spoza kadru] I oni byli w Paryżu? Nie, nie, tutaj u nas w Miluzie. Tu w Świdrze nie wiem kto. Ale się jeszcze tym nie interesowałem, ale byli też na pewno. Co się działo w Paryżu? W Paryżu działy się różne dziwne rzeczy, w sposób dużo bardziej intensywny niż u nas na wsi. Na przykład już pod koniec sławetne DST chwyciło bezpośrednio na przekazywaniu informacji pracownika Biura paryskiego „Solidarności”, niestety nie wiem kogo. Przekazywał te wiadomości trzeciemu sekretarzowi ambasady polskiej w Paryżu. Chwycili ich na gorącym uczynku. Przypada, która spotkała Mirka Chojeckiego. O mało w tej przygodzie nie uczestniczyłem, tylko mój syn mnie uratował. Jakoś latem było, już nie pamiętam, w którym roku, Mirek przyjechał do Paryża, jego kobieta wyjechała, dom pusty, dzieci nie ma, to sobie spokojnie tam po swojemu będziemy rządzić, prawda. Ja miałem wielką chęć na to, taki tam tydzień na luzie z Mirkiem. Natomiast byłem w Belgii z moim synem Łukaszem. I powiedziałem, wiesz co Łukasz, pojedziemy do Paryża, tam jest pan Chojecki, to tamto. I on stanął dęba, powiedział: „nie. Ja chcę do Miluzy i koniec”. Ja nie pojechałem do tego Paryża. Co się stało w Paryżu w międzyczasie? Po nieobecność Mirka w domu, w mieszkaniu, nastąpiło włamanie. Nastąpiło włamanie, zostały skradzione wszystkie dyskietki, wtedy jeszcze się pracowało na tych dyskietkach jako pamięciach. A później to mieszkanie podpalono. Oczywiście sławetne DST znowu dostało furii, że człowiek, którego oni mają pod swoim parasolem, swoją ochroną, a tu się dzieją takie rzeczy. Zrobili śledztwo, a wynik tego śledztwa był bardziej niż mizerny. Znale-

ziono jakichś dwóch kilkunastolatków, przyznali się, że się włamali, że podpalili, że ukradli to, co mieli ukraść, czyli te dyskietki nieszczęsne i co tam jeszcze w papierach dało się wynieść, że podpalili to mieszkanie. A kto im kazał? A jakiś taki Murzyn. No i już jakiegoś takiego Murzyna nie znaleziono. W każdym razie ta wojna tam jakoś tam trwała, prawda. Myślę, że nasza strona, „Solidarność” nigdy nie była w jakikolwiek sposób przygotowana do zabezpieczenia się przed penetracją, obserwacją, czymkolwiek. To szło na żywioł. Opowieści ludzi, jak oni tu, kontrwywiad wewnętrzny, to tamto, są bzdury, opowieści... Już nie mówię po sobie, no ale w końcu było ileś dużo ważniejszych postaci, było ileś wpadek i... Wiadomo, że po prostu w tym byliśmy bezradni. My jednak wierzyliśmy człowiekowi. Może to i dobrze. Wierzyć w człowieka to jest ważna sprawa. To takie miałem przygody z tym. A z Mirkiem trzymaliśmy kontakt, trzymamy do dzisiaj. W Polsce ani po jednej i po drugiej stronie, znaleźć zamachowca, który jest gotów wyskoczyć na maskę samochodu i walnąć butelką w szybę, bo to jest samobójstwo. Można by może znaleźć wśród trudnych bojowników Al-Kaidy i innych. Oni lubią być zamachowcami samobójcami. Natomiast w Polsce nie. [głos spoza kadru] Mówił Pan w kontekście wypadku... ...Teosia. Bo po prostu zza autobusu wytoczył się pijak. Teoś w niego walnął. Ten pijak się potoczył po masce samochodu i butelka, którą miał w ręku, tą butelką uderzył w szybę. Szyba się wgniotła, uderzyła Teosia w czoło. Gdyby zrobili tomografię natychmiast, i trepanację mózgu, to Teoś by żył. Oni go wzięli na obserwację. I tak to wyszło, także dla mnie to nie jest żaden zamach. Jeden zamach rzeczywiście zrobiono na mnie. Tak, o właśnie. Ja jestem akurat przykładem zamachu, który się odbył. Dwa. Może opowiem o tym pierwszym, który ma w sobie takich trochę elementów humorystycznych. Budzę się w nocy w naszym domu tam w Witlesheim. I czuję gaz. Ulatnia się gaz. Pędzę do kuchni, rzeczywiście akurat z gazem odkręconym na całą szerokość. Gaz aż dudni. Zamknąłem gaz, otworzyłem okno, biegnę do schodów, krzyczę do mojej żony: „nie zapalaj światła!”. Ona oczywiście światło zapaliła. Na szczęście jeszcze za mało tego gazu było, żeby to pierdzielnęło. No więc takie były wydarzenia, we Francji tak przebiegał ten zamach. Natomiast później zacząłem, jak wszyscy śledczy, patrzeć, badać ślady, żeby się zorientować jak to wyszło. Po pierwsze nasz kurek z gazem, trzeba było naciskać, wystarczyło przesunąć i on się zapalał. Po drugie nasz kot, Kluch wrócił z jakiejś włóczęgi w środku nocy, Poszedł do kuchni, bo one miały taki system takich drzwiczek, że mogły wchodzić, wychodzić kiedy chcą. Poszedł do kuchni, co było widać po śladach, ponieważ na kuchence stał gar z jakąś tam zupą ciepłą, no to kot Kluch chciał się przytulić do tegoż gara i otworzył ten gaz. Ten gaz zaczął się syczeć, to kot Kluch uciekł. Ale być może, że kot Kluch dostał od służb pieniądze, albo whiskasa mu na przykład kupili. Whiskasa nigdy nie dostawał. I za tego whiskasa chciał nas wysadzić w powietrze. To był zamach nr jeden, natomiast zamach nr dwa nie był zamachem, był psikusem zupełnie idiotycznym, który zrobili mi moi koledzy z konkurencji, czyli TŻT. Ja się zawsze chwaliłem, kiedy jadę do Polski, bo gadaliśmy o tym, a co tam. Ruszyłem do Polski spod pracy, bo ja często tak robiłem. Byłem młody i pełen energii. No i skończyłem zmianę popołudniową, wsiałem w samochód już zapakowany. Pojechałem do Polski i tym samochodem zaczęło trząść w którymś momencie dosyć nieprzyjemnie. Co się okazało? We wszystkich czterech kołach były obluźowane trzy śruby. Tylko jedna trzymała. To się nie stało przez przypadek. To się stało, znaczy te śruby ktoś mi odkręcił. Podejrzewam tylko, że TŻT, z którymi prowadziłem wojnę, chociaż nie przypuszczam, żeby ich celem była próba zabicia mnie. A to taki psikus. [głos spoza kadru] TŻT to był Komunistyczny Związek Zawodowy w pana firmie, tak? W zakładzie gdzie pan pracował. Tak. A ja założyłem CFTC, czyli Chrześcijańskie Związki Zawodowe. Byłem współzałożycielem. Mało tego, wygraliśmy wybory. Ledwo co założyliśmy i od razu żeśmy wygrali. Z hasłem wyborczym bardzo prostym. Głosujcie na swojego ulubionego elektryka, czyli na mnie. Żeśmy wygrali i TŻT straciło monopol u nas. Zresztą był to pierwszy przypadek, kiedy w ogóle w drukarstwie tutaj w regionie TŻT straciło monopol. Byłem ich

przeciwnikiem przez cały czas. Bardzo długo były to wojny zacięte i nieprzyjemne. Aż do momentu, kiedy zdecydowano się u nas w zakładzie robić redukcję zatrudnienia. I chcieli wywalić 11 osób z roboty. No i wtedy żeśmy stanęli dęba. Stanęliśmy dęba TŻT i my, no i zrobiliśmy strajk. Zrobiliśmy strajk, który ładnie przebiegał. Bardzo ładnie współpracowałem z szefem tego TŻT, Raulem Sztoklem. Przyjechali dziennikarze, Raul mówi: „chodź, sobie zrobimy zdjęcie razem do prasy”. Ja mówię: „Raul nie mogę, bo mój świat się zawali”. „Ale mój się rozszerza” – powiedział Raul. Żeśmy to zdjęcie sobie wspólnie zrobili. Strajk wygraliśmy. Zresztą miałem jakieś dalsze pomysły. Bo strajk w tej chwili jest, to jest sprawa bardzo prosta. Strajkować można, dopóki się ma pieniądze w kieszeni, ma się z czego żyć. Najlepszym żandarmem w tej chwili jest po prostu bankier. W którymś momencie jest telefon z banku, halo, stwierdzamy, że coś u pana, są jakieś minusy na koncie. I tłumaczenie, a bo my strajkujemy, bo to tamto, odpowiedź jest prosta: „wie pan, mnie to nie obchodzi, proszę uzupełnić minusy”. Więc ludzie mogą strajkować parę dni, natomiast robienie strajku, który będzie trwał dwa tygodnie, sobie nie wyobrażam po prostu, bo ludzie nie będą mieli pieniędzy. To był też strajk, o którym Pan mówi, w zakładzie w drukarni. No, w obronie tych 11 osób. W związku z tym, pierwszego dnia strajku powiedziałem Raulowi, że słuchaj, nie wiem, jak mamy to robić, ale to się musi zakończyć w parę dni, bo ludzie odejdą, ludzie zrezygnują ze strajku. I to jest bardzo prawdopodobne. W związku z tym, wiesz, mam taką propozycję i tutaj miałem dla Raula propozycję taką, no powiedzmy trochę ostrzejszą. Ja wiedziałem, gdzie jest doprowadzenie wody, gazu, no i elektryczności do nas z zakładu. Akurat było to zresztą zgrupowane mniej więcej w jednym miejscu. Klucze do tychże ujęć, no ja miałem normalnie służbowo i mogłem sobie te duble porobić, żeby były dla pewności, Mówię, że w razie draki Raul po prostu resztkę tych strajkujących, którzy chcą wytrzymać, ściągamy tutaj w ten mały kawałek, odłączamy to wszystko w cholerę i tą wodę, i ten gaz, i ten prąd. Jak chcą drukować, niech drukują. Ludzie przyjdą do roboty i ludzi już nie obchodzi, że się nie drukuje, ba – będą się cieszyć. My oczywiście popełniamy przestępstwo. Ale dopóki nas nie zamkną, to jednak myślę, że ten strajk wygramy. Bo to nie jest tak, że w tym momencie oni ściągają oczywiście, żandarmeria przyjechałaby natychmiast. Ale żandarmeria w przypadku strajku nie reaguje natychmiast, czeka na decyzję prefekta. No bo są to sprawy powiedzmy polityczne bardziej. Zwykle ta zabawa z prefektem trwa około trzech dni. Więc my mogliśmy się tam zabarykadować w tym miejscu na te trzy dni. I przez te trzy dni byśmy tę produkcję zatrzymali na amen. Co by było później? Później by były procesy sądowe, byłyby różne jaja, ale jakbyśmy wygrali, to mamy za sobą centrale związkowe. Nie jesteśmy sami, więc myślę, że jakoś by to nawet mogło się rozejść po kościach. Taki był mój pomysł i myślę, że tym sobie kupiłem Raula, że to można walczyć o interesy ludzi pracy, nie będąc komunistą. Jakąś manifestację, żeśmy kiedyś robili w Miluzie, nie wiem czy byliśmy za, albo byliśmy przeciw, to wszystko jedno. W każdym razie była jakaś taka ogólnozwiązkowa manifestacja w Miluzie. Ja tam trochę byłem z tymi moimi, z tego CFTC, a później sobie przyjechałem do Raula, mówię: „chodź Raul, razem będziemy manifestować, będziemy jeszcze iść przez to miasto”. Przechodziliśmy koło subprefektury. Jest taka podprefektura, czyli delegatura prefektury. Ja mówię do Raula: „słuchaj, my łazimy w tą i na-  
zad po tym mieście, to nic nie da. Zostanie napisane, że tyle, a tyle łaziło w tą i na-  
zad. Co trzeba zrobić? W tej chwili wejdziemy na tą subprefekturę. Zajmujemy subprefekturę. Robimy strajk okupacyjny na subprefekturze. Wtedy sytuacja się zmienia. To zaczyna ich boleć”. Raulowi oczy zabłyśły. Ktoś później mówi: „nie, nie będziemy tego robić”. Ale Raul: „dlaczego nie?”. „A kto pójdzie? Ty pójdiesz i ja pójdę. Przecież reszta nie pójdzie”. Zdał sobie sprawę z realiów. Był to człowiek dziwny, człowiek, zakochany w komunizmie, jeździł na Kubę, na tą Kubę. Na tej Kubie robił jakieś takie głupoty zupełnie niemożliwe. Opieprzył jakąś kobitę, która prosiła o pieniądze na mleko dla dziecka. To on jej zaczął wykład robić, że na Kubie mleko dla dzieci jest rozdawane za darmo. Zmieniamy podpisy, przegra-

liśmy wybory. Ja idę z Raulem do banku, żeby zmienić podpisy na kontach Komitetu Zakładowego. No i tam ten bankier przygotowuje te kwity, a Raul zaczyna opowiadać o Kubie i że na Kubie to jest jeden lekarz na trzech mieszkańców. W tym momencie ten człowiek przerwał tą swoją działalność przygotowania tych kwitów. Odłożył pióro wieczne, zamknął, odłożył. I mówi: „proszę pana, ja nie jestem ani komunista, ani antykomunista. Ja się w ogóle na tym nie znam. Ja, proszę pana, jestem bankierem. Ale jak pan mówi, że jest jeden lekarz na trzech ludzi, to z czego żyją ci lekarze? Co oni robią?”. „No, widzi pan, jak się pan nie zna? Leczą się między sobą”. „A no tak, tak to może działać”. [śmiech] Więc taki był Raul. Któregoś razu Raul przyniósł takiemu naszemu wspólnemu znajomemu jakąś taką olbrzymią flachę rumu przywiezionego z tej Kuby. Mówi: „słuchaj, weź tą butelkę tego rumu, Tutaj masz kopertę, w tej kopercie są nazwiska ludzi, którzy ten rum wypiją z tobą, a będzie to rum ode mnie. Kiedy masz to otworzyć? A to się dowiesz”. No i w czas jakiś później Raul był łaskaw się powiesić. Był łaskaw się powiesić, powiesił się w takim miejscu, że zawsze jadąc do pracy, muszę myśleć Raul, bo powiesił się koło pomnika takiego krzyża lotaryńskiego. No i to widać po prostu, jak się spojrzy na krzyż lotaryński – aha, Raul. Powiesił się, a dlaczego się powiesił? On był, znaczy nie znał rodziców, ojca to pewnie trudniej byłoby ustalić, ale szukał matki, która go porzuciła po urodzeniu. No i wreszcie ją odnalazł tą kobitę. I ona powiedziała, żeby on się od niej odczepił. I człowiek o jakimś takim olbrzymim zacięciu, no w wojowaniu, bo to był wojownik, ten człowiek to był wojownik i to potwornie zacięty, on nie potrafił zrobić jednej rzeczy bardzo ważnej, którą się robi, jak się bawi w takie rzeczy, Musi być taki kawałek naszego mózgu, który jest zarezerwowany tylko dla nas. To jest mój kawałek na moje sprawy, na moje głupoty, na wszystko co mi tam. Całą resztę mózgu mogę poświęcać na życie zawodowe, walkę przeciw, walkę za, etc., ale to swoje coś trzeba mieć, bo jak się tego swojego czegoś nie ma takiego, to się traci sens. On tego nie miał, on się oddał całej tej wojnie klas. No i jak się dowiedział o tym, znaczy jak to, jak to się stało, co się stało. Odnalazł tą matkę. To już nie miał siły, nie miał miejsca w mózgu, żeby to przemyśleć i dać sobie po prostu zrozumieć to, prawda. Powiesił się. Więc Polak z pochodzenia Przywłókł tą flachę tego rumu do roboty, byłem na liście do wypicia. Było nas tam paru, no i rada w radę, czy to mamy do szatni biegać i każdy po kolei ma tą lufę tego rumu strzelać. Mówię: „nie. Są momenty, kiedy tak nie wolno”. Siedliśmy sobie w palarni, nie zważając na konsekwencje, które powinny być straszne, żeśmy tą flachę rumu strąbili. To już po jego śmierci. Ale jakoś tam nie wiem, myślę, że dla dykcji też to był jakiś szok, bo nikomu nie przyszło do głowy, żeby nam zwrócić uwagę, że my tu w godzinach pracy trąbimy tego rumu w końcu sporą ilość. To taka była moja przygoda z Raulem Sztokłem, prawdziwym komunistą, Ale jak się okazuje można znaleźć wspólne kawałki, można robić coś razem.